

DWA

Miłosz Waligórski

Pisanie to już tłumaczenie na inny język
Marina Cwietajewa

Ecrire, c'est déjà traduire en d'autre langue
Julia Hartwig

Daleko za nieczynnymi wulkanami Lasu Bakońskiego słońce zerwało linię horyzontu i po niebie rozlała się noc. Do późnej kolacji, której w końcu i tak nie zrobił, wypił litr wina i poszedł do łóżka. Padł i spał jak kamień w wodzie. Głęboko i mokro. Siil!, krzyknął ktoś nagle tuż nad jego uchem. Co?, zerwał się i wsparł na łokciach. Co?, powtórzył już ciszej, błędząc dookoła zamglonym spojrzeniem, ale w pokoju nie było nikogo, nawet prostytutki. Śnił o takiej, która nad ranem wyślizgnęłaby się z pokoju, z wdzięczności zostawiwszy na jego biurku zarobione pieniądze i zapieczętowany szminką liścik: „Po Twym wejściu rzeki bez szemrania wracają do swych źródeł. Zmieniasz postać rzeczy”. Zamiast tego była lepiała się do skóry ciemność i kaloryfer rozgrzany jak opętany stachanowiec. Nie wstał jednak, by go przykręcić, rozpiął się tylko pod szyją, westchnął i runął z powrotem na poduszkę. Sny się skończyły, nie ma żartów, pomyślał i zaraz gorący mrok zakorkował mu świadomość. Spoczone ciało obtaczała kleista czerń. Co w tym czasie działo się w środku, nie wie nikt.

Obudził się szarym świtem i próbował pracować, ale szybko zrezygnował. Tekst oryginału rósł przed nim jak ściana ognia odgradzająca drogę do morza, a on nie mógł znaleźć słów, po których przeszedłby na drugą stronę. Zrobiło mu się duszno. Gwałtownie odtrącił klawiaturę i wybiegł na dwór. Dłoń oparł o poręcz, drugą rękę położył na sercu i w pochyleniu wciągał długie, wąskie hausty powietrza. Nie mam słów, brak mi słów, powtarzał nerwowo, razem z oddechem powoli odzyskując mowę. Po chwili odkaszlnął i podniósł wzrok. Przejęty zimnem z trudem rozpoznawał, gdzie jest. A był na ganku Domu Tłumaczy, w filcowych kapturach i bawełnianej piżamie na guziki. Stał i mimo plusowej temperatury bezbronne dygotał. W nocy spadł śnieg i od razu roztajał, bezświecnie. Czarną breję, formując z niej niskie wydmozakosy, zaciekle atakował wicher. Zrodzony +

na drugim brzegu jeziora rozpędzał się nad rozległą taflą i wpadał do śniętego miasta. Nawet zbity kordon lasu nie umiał go zatrzymać. Wdzierał się na placyk przed willą i z impetem uderzał w werandę. Dopiero tam nieznacznie hamował i zaczynał kręcić się po obejściu, prosić do tańca. Szarpnął drzwiczkami do szopy, wytarł uszy okiennic, przestrzelił skołowanego Siila, aż zaświszczały kości i dał nura pod schody, gdzie na pryzmie piasku odpoczywały liście z najbliższej lipy. Wplątał się w nie jak w czuprynę i razem z nimi krewko zawirował. Wypełnił zapomniane podschodzie szalem rozwianych włosów. Wzbił je w górę i czmychnął gdzieś za dom, a one ciężko poopadały na ziemię, szybko zapominając o chwili uniesienia. Uspokoiło się. Z tego wszystkiego Siil widział tylko efekt końcowy – bezład obumarłych liści wokół werandy. Ten widok nappełnił go goryczą. Leżały oślizgłe, nikomu niepotrzebne jak przegniłe zwiłki dawno wycofanych z obiegu banknotów. Rzucona w błoto, zużyta kupa liści, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej mogły godzić kochanków, a dziś nie mogą już nic. Znaki jesieni w środku zimy, nie w porę, nie w czas, samotne, niedocenione, a przy tym solenne i bezinteresownie piękne. Obserwując je, Siil wyobraził sobie księdza odprawiającego mszę w pustym kościele, z zachwytem wpatzonego w oburącz podniesioną hostię, wyobraził sobie nieskończoną miłość matki do wrednego dziecka i czułość wobec kwiatów, światłość świecy płonącej na grobie w biały dzień i zakurzony list w biurku za zapomnianymi drzwiami. W ciągu wyraźnych obrazów zobaczył rzeczy ludzkie, ale skazane jedynie na wdzięczność Boga, olśniewające i jednocześnie okrutnie smutne. Ujrzał spójną sprzeczność, pionowe szczęście przecięte poziomą pustką, religijną pełnię przetkaną świecką nicością, wniebowstąpienie i ziemskie opuszczenie, czystą metafizykę, z człowieka, ale bez człowieka. Przeszył go dreszcz, oczy zaszyły mgłą. Wzdłuż płotu okalające willę wysokie brzozy, strzeliste i smukłe, zdały mu się topolami. Melancholia zaatakowała zmysły. To był znak, by się ocknąć, najwyższa pora, by wracać do pracy. Przecież obowiązywała go umowa. Po tygodniu pobytu w dowód wdzięczności za gościnę powinien przedstawić gotowy arkusz, tymczasem mijał szósty dzień, a on wciąż tkwił na początku. Dobrze wiedział, jaka jest sytuacja, niemniej za każdym razem, kiedy świadomość przemawiała do niego dosadnymi zdaniem, czuł się, jakby władcym głosem ktoś wrywał go ze snu. Na szczęście ataki paniki nie trwały długo. Przetrzeźwiał, odwrócił się na pięcie i schował w domu. Za jego plecami pod naporem topniejącej okiści złamała się gałąź lipy i runęła na ziemię. Głuche tapnięcie uderzyło o solidne mury willi, zatrzęsło szybami i ucichło. Bezszelестnie obniżyło się niebo.

W oknie po lewej zabłysła lampka. Wewnątrz za biurkiem usiadł mężczyzna, ekran laptopa rozświetlił mu twarz. W okularach odbijały się litery. Skupionym spojrzeniem powiódł po kilku linijkach, po czym oderwał wzrok, popatrzył po sobie, jakby sprawdzał zgodność z oryginałem, zakasał rękawy piżamy i jął zapamiętane stuknąć w klawiaturę. Nie minęło jednak pięć minut, a wir pisania wyrzucił go na brzeg. Rozbitek zgasił światło i przeniósł się do kuchni z tyłu bu-

dynku. Nadszedł czas śniadania i zamyślonej obserwacji ogrodu. Przynął do siebie pleciony koszyk z pieczywem i sięgnął po chleb. Łamał, mazał masłem, maczał w miodzie i konsumował. Przeżuwał wolno i patrzył, jak wśród chaszczki znowu zamarza śnieg, a na szybach mróz odmalowuje fikuśne wzory. Przy dziewiątym kęsie rozpełtała się zadymka i przestał cokolwiek widzieć. Cały świat znikł za białą, pulsującą drobinami lodu zasłoną. Jej hipnotyczne falowanie sprawiło, że w głowie Siila spłotyły się wszystkie chwile, które upłynęły przy takiej pogodzie. Nie tylko jemu, w ogóle. Bo jak mgła przechowuje pamięć o ludziach, którzy kiedykolwiek się w niej znaleźli, tak i kłęby kurniawy konserwują przeszłość. Wyłaniały się więc przed nim różne postaci i sceny, krzyżacy i Aleksander Newski, on sam jako dziecko na brzegu jeziora Pejpus w rodzinnej wsi Sääritsa po pas zanurzony w śniegu, przestraszony, bezskutecznie wypatrujący drugiej strony i rosyjskiego miasta Gdów, jego narzeczona Maret Hindorf skulona przeciw zamieci w drodze na uniwersytet w Tartu, zasy w okolicach Paide, gdy jechał do Tallinna po świecznik i wrócił zakochany. Właśnie tam, w Ikei, spotkali się po raz pierwszy. Dwudziestoparoletni Siil szedł w kierunku działu oświetlenia anielsko rozjaśnianego przez zastępy żarówek i mrużył oczy. Im był bliżej, tym mniej widział. Rażący blask wybielał obraz, a kontury towarów i ludzi stawały się ledwie rozpoznawalne. Jaka więc musiała posiadać moc, skoro przeniknęła oslepiającą jaskrawość i między niewyraźnymi regałami błysnęła mu grubymi pierścieniami blond włosów, lokami cudownymi jak aureole. Dzięki nim jego źrenice zwężyły się i mógł podejść bliżej. Ciężkie złote pukle opadały na zmechacony angorski sweter, duże, sarnie oczy skakały z półki na półkę, a wydatne, choć spękane wargi wydymały się na znak niezadowolenia. Nie mogła znaleźć tego, czego szukała, łagodna i jednocześnie figlarna, manifestacyjnie lekceważąca swoją urodę, bezczelnie śliczna, Brigitte Bardot z papierosem, tyle że bez papierosa. Zamurowało go. Stał obezwładniony, tragiczny niczym nocny motyl bijący w klosz latarni. Najmniejszy krok w przód groził samounicestwieniem, upadkiem w gardziel wulkanu. Balansując na jego szczycie, mimo wszystko zdecydował się na taniec.

– Szuka pani lampy? – zagadnął.

– Lichtarza.

– ?

– Podstawki na świecę.

– A, świecznika. Sam nie mogę znaleźć.

– Poszukajmy więc razem – rzuciła nagle jeszcze jaśniejsza, ujęła go pod rękę i kazała się prowadzić.

Bezceremonialność jej zachowania była fantastyczna. Siłę wrażenia wzmocniło uderzające podobieństwo sytuacji i znanych mu cytatów. Odczytywał je jako Boski zbieg okoliczności nadający życiu miarę literatury. Na taki związek czekał całe życie. Dopiero później, kiedy w swoje zdania coraz częściej wplatała zwroty typu „halne Ty”, „płakałam do twojej ręki”, „zegary głęboko w nas” czy „narośl mroku”, zaczęło rozjaśniać mu się w głowie.

+

Śnieg przestał padać. Zamieć – płótno do wyświetlania wspomnień – ustąpiła i zwolniła miejsce nieposłusznej teraźniejszości. Mróz cały czas tężał, zdobiąc szkło coraz zamazyśniej. Siila odszedł od okna, chleb odłożył do chlebaka, miód na półkę, a masło do lodówki. Odwrócił się, rzucając kontrolne spojrzenie, czy zostawił kuchnię w takim stanie, w jakim chciałby ją zastać. Ta myśl przypominała mu o kolejowych toaletach, nigdy nie takich, jakie być powinny. Na jazdę pociągiem nie mógł sobie jednak pozwolić, postanowił więc, że przynajmniej pójdzie na spacer w stronę dworca. W pokoju zrzucił piżamę, ubrał się ciepło, w sweterek i kalesony, do kieszeni kurtki wrzucił klucze, nacisnął na uszy czapę i wyszedł na dwór. Najpierw skręcił w lewo i ruszył do Balatonarács, ale na tamtejszej stacji pociągi rzadko się zatrzymywały, on zaś chciał oglądać je w bezruchu, więc kiedy to sobie uświadomił, rozbawiony własnym roztargnieniem, jakby pomylił kierunki przekładu, zawrócił i obrał drogę ku dworcowi głównemu. Warunki do przechadzki nadal nie były sprzyjające. Niebo podniosło się nieznacznie, lecz słońce wciąż kierowało światem zza zasłony chmur. Ukryte i niepozorne jak szara eminencja niepodzielnie rządziło kształtami i wymiarami ziemskiej przestrzeni. Od jego wysokości zależało, jak długie cienie śledzą ludzi i uwypuklają rzeczy, a od jasności – głębia różnic między nimi i ich stan skupienia. Teraz świeciło pionowo i z bardzo daleka, otulone warstwami śnieżystej peleryny ćmiącej jaskrawość jego wyroków. Dzięki niej król nie był nagi i nic nie było jednoznaczne. Biel czerniała, a czerń bieląła. Świat tracił kontury i rozmywał się w szarówce. Krok Siila również zgubił wyrazistość. I to podwójnie. Po pierwsze przez gołoledź, a po drugie dlatego, że jego beżowa puchowa kurtka niczym nie wyróżniała się na tle żółkłych skrzepów śniegu. Posuwał się wolno, drobiaż wsparty o ściany domów, płoty i drzewa. Od czasu do czasu puszczał się w niepewny ślizg. Szedł tak przez zimowy Balatonfüred pustą ulicą Sándora Petőfiiego niemal niewidoczny, scalony z kontekstem, jakby twórca aury wpisał go w krajobraz atramentem sympatycznym. I kto wie, może rzeczywiście zniknąłby na dobre aż do wiosny, gdyby nie wełniana czapa na jego głowie. Ech, co powiedziałyby na to były kochanki. Pewnie nic. Parsknęłyby tylko śmiechem. A jednak to właśnie dzięki tej komicznej magierce zachowywał w tym przypominającym wizualizację ciszy pejzażu jakiegokolwiek znaczenie, ocalał twarz, która mimo że – przynajmniej z dalszej perspektywy – przypominała kleks na czystej kartce, stanowiła jedyny niezbity dowód jego istnienia. Dzięki niej graniczył ze światem i przez tę granicę mógł go poznawać. Niestety, przenikalność materii z założenia była niepełna, a wszelkie próby wyjścia w świat przy równoczesnym pozostaniu sobą skazane na niepowodzenie. Dlatego zamknięcie w ciele, skądinąd konieczne do życia, już od małego stanowiło dla Siila źródło wielu udręk. Na przykład nie trzeba było długo czekać, wywrócił się. Wyciągnął jak długi. Długi marsz przede mną, pomyślał, wchodząc w słowo narracji. Leżał na wznak i mimo bólu w krzyżu czuł błogość. Patrzył w uspokajające masy chmur. Zawieszona nad nim monotonna szarość koła wzrok. Nie chciało mu się wstawać. Zaraz jednak zimno ziemi zmroziło mu plecy i czar prysł. Powoli

podniósł zbite kości i pokuśtykał dalej. Po kilku metrach, nieoczekiwanie, jego podeszwy trafiły na mocny grunt. Jakby ktoś posypał chodnik piaskiem. Odtąd szedł więc pewniej, wyprostowany, bez trzymanki. Po lewej mijał park, po prawej nowe i stare posesje. Między sztachetkami dojrzał przedwojenną willę, z zainteresowaniem zapuścił żurawia do wymarłego ogrodu, przez dziurkę po sęku zlustrował dom o odstających uszach okiennic, opuszczoną szopkę oraz na wpół otwarty tymczasowy chlewik. Z jego rozchylonych drzwi aż do dziury w płocie, dryp, dryp, pośród obumarłych liści prowadziły parzystokopytne ślady. Odcisnięte w śniegu i ziemi bezlitośnie zdradzały trasę ucieczki. Najpierw kilka metrów biegły wzdłuż chodnika, a potem skręcały w stronę jeziora i ginęły wśród drzew parku. Siil, chrum, chrum, ruszył ich tropem. Szybko zбочzył ze ścieżki, wszedł w iglaki i zaraz zniknął z pola widzenia. Za jego plecami nad ulicą zadrżał telefoniczny drut, bezdźwięcznie. W niebo odfrunął ptak.

Doszedł do wody. Tu świński wątek się urwał. Na wysadzonym platanami deptaku Rabindranatha Tagore pod butami dźwięcznie zachrupał szreń. Chmury były już wysoko, ale wciąż raz po raz wypuszczały ku ziemi postrzępione języki mgieł, które zwijały się i rozwijały, kotłowały i przetaczały po chodniku, lepiąc się do platanów, tuląc do latarni, oplatając ławki i zaczepiając ludzi, czyli Siila, bo poza nim nikogo tu nie było. Roztaczał się przed nim widok pierwotny. Łód skuł wodę. Od nieba różnił ją tylko popielaty odcień bieli. Poza tym, gdzie okiem sięgnął, miał przed sobą pustkę. O drugim brzegu nie było mowy. Wąta przestrzeń. Coś, czego jako dziecko, ale i później zwierzęco się bał. Wydawało mu się, że może go wessać, zmielić i rozsiać bez śladu. Niestety, przerażał go też tłok, kłębowiska ciał i przeciążone miasta, zdeptane chodniki i sfilcowane bezlikiem spojrzeń budynki metropolii. Kiedyś, już jako student hungarystyki, po powrocie do domu ze stypendium w Budapeszcie, spacerując po piaszczystej plaży i patrząc, jak nad niewidocznym rosyjskim brzegiem wiatr rozwleka biedną włóczkę chmur, wyobraził sobie ogrom powietrza i rozłożystość ziemi mającej swój początek po drugiej stronie i ciągnącej się aż po Morze Czukockie. Przestraszył się, obleciał go piecica. Oto stoję na krawędzi świata, pomyślał, vis-à-vis azjatyckiego bezkresu i moja mała wyobraźnia drewnieje. A jeśli się odwrócę i pójde na zachód, zamorduje mnie mur przeludnienia. Jedno i drugie jest ponad moje siły, nadmiar mnie zatyka, a pustka obezwładnia, szamocę się w kleszczach przesytu i głodu, ziemi i nieba. Jak dobrze, że pomiędzy jest Estonia, środek. Tu czuję się najlepiej. Myślał tak do momentu, kiedy rozstał się z Maret. Wtedy zdecydował, że musi wyjechać, przynajmniej na jakiś czas. Przygotował projekt, złożył podanie o stypendium dla tłumaczy i jakimś cudem je dostał. A Maret? Wyjechała do Polski, do Eichenbrück w Kraju Warty – jak powiedziała, miejsca, gdzie urodzili się jej rodzice. Na odchodnym wyznała: „Jestem Polką”, i to była kolejna rzecz, której nie zrozumiał. Wiedział, że pochodziła z bałtyckich Niemców i mieszkała w Tartu dopiero od kilku lat, ale o żadnym Eichenbrück nigdy od niej nie słyszał. Wolał jednak nie dopytywać. +

Kiedys, przerywając jego rodzinną opowieść, sarknęła: „Nie chcę być workiem na twoje trupy”. Od tego czasu przeszłość traktował z daleko idącą ostrożnością i oddawał się jej jedynie w pojedynkę. Maret. Ta, która twierdziła, że dobry człowiek jest jak wiersz, nie uświadamiała sobie, że ową salonową frazą zdradza swoją pogardę dla ludzi. Zmieniła wszystko. Zanim ją poznał, kobiety zdobywał jak estońskie góry: utartymi szlakami, skocznym biegiem i jedną za drugą, nie zauważając nawet, że właśnie osiągnął szczyt. Dopiero ona go zatrzymała. Była jak piaskowcowa ściana, trudno dostępna i absorbująca. Z czasem, kiedy udało mu się do niej zbliżyć, dostrzegł, że jej rysy – z odległości tajemnicze głębokim cieniem – to pęknięcia wypełnione smołą. Szczeliny, o które chciał się zaczepić, zagłębienia, do których chciał włożyć palce, okazały się złudzeniem. Każda próba wspinaczki skończyłaby się ześlizgnięciem, upadkiem do stóp. Siil pojął, że zamiast doświadczonej niepogodą ściany z kamienia, pełnej ukrytych toków myśli i drogocennej treści, ma przed sobą gładki papier kredowy, który choćby lekko ubodzony palcem natychmiast się przedziera, wyzwalając zgromadzone po drugiej stronie pokłady pustki. Wyobraził sobie, jak jej śnięte smużki ulatują z wolna aż do wyczerpania, a on, stojąc naprzeciwko, patrzy na ich ruch znikąd w próżne. „Popelniona jest noc”. Tak, udane słowa mogą stać się człowiekiem, ale nie odwrotnie. „Popelniona jest noc”. Gdy to pojął, obudził się i razem z pierwszymi promieniami słońca wyszedł, by nigdy już nie powrócić. Zostawił za sobą mieszkanie, z którego później wyprowadziła się również ona.

Zatrzymał się nad brzegiem. Spojrzał w górę. Obłokom z zimna pierzchła skóra. Chudnąc, rozchodziły się po żebrach sklepienia. Niebo, wyjąłowione, kłuło ziemię igłami zimnego dreszczu. Przenikliwy wiatr suszył świadomość – stań się tym, czym ja – wywiewał z niej ziarna pamięci, kruszył wypustki sumienia. Siil drętwiał, z podmuchu na podmuch zamieniał się w słup. Z falami powietrza odchodziły od niego zmysły. Słuch, dotyk, węch i smak poszły nogami. Pod butami zawiązały spisek i zastygły w postument dzierzący w bezruchu jak beton. Wzrok wypuścił się samopas nad szerokie wody. Gnał do przodu lotem strzały, aż pośrodku jeziora zawrócił go różowy odyniec. Rósł jak soliter na bezkresnym polu, z zadartą głową świdrująco patrzył prosto w niebo. Wzrok zatoczył nad nim koło i pędem wrócił na brzeg. Przez to okamgnienie Siil stracił wyraz i stał się równy rzeczom bez imienia. Piasek zasypał mu rysy. Umysł uciekł od myślenia. Wzięła go do serca prenatalna szczęśliwość. Był jak kropka na końcu książki, czarne słońce, wokół którego wiruje cały świat. Niby na krawędzi, a w środku okręgu, niby mnich nad brzegiem, a u źródła pełni. Trwało to ułamek chwili, kiedy się zapomniał. Miernym jednak wiatru okazał się uczniem. Zmysły zwolnione z pęt znowu nim rządziły: słuch rozgłośnie mościł w uszach swoje bębny, dotyk elektryzował koniuszkami palców, ścierniskiem nad wargą wdzierał się w nos węch, od smaku cierpł język. Odzyskiwał wsobność. Wzrok wracał z podróży. Szumiało mu w głowie, jakby miał przed sobą nie zamarzniete jezioro, a rwany sztormem ocean. Opuścił głowę, ale nie mogło to trwać

wiecznie, spuścił głowę. Wykonał ruch. Uspokoilo się. Znowu. Po lewej w oddali zamajaczył człowiek. Siil ruszył w jego stronę. Z kroku na krok widział go coraz lepiej, w końcu zupełnie wyraźnie. Na przybrzeżnym głazie wśród pogodzonych szronem śliskich kamieni siedział gładko przylizany, zaczesany do tyłu ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna o wysokim czole. Przy nodze miał butelkę. Mimo mrozu nosił jedynie cienki sweter, na którego czarnym tle ostro odcinał się śnieżnobiały kołnierz Słowackiego, sztywny, krochmalony. Na kamieniu obok leżał przerzucony ciemny jak wnętrze grobowca płaszcz. Z kieszeni, kielichem w dół, zwisał wyschnięty mak. Mężczyzna siedział nieruchomo twarzą do jeziora i w przeręblu łowił ryby. Siil nie chciał przeszkadzać, ale w zapatrzeniu zszedł ze ścieżki i zaszurał butami po piasku. Nieznajomy przeniósł na niego oczy. Spojrzenie miał hipnotyzujące, argusowe i zarazem nieobecne, jakby zwrócone do środka, ślepe na świat. Przepraszam, powiedział niepewnie Siil. Nic nie szkodzi, po prostu usłyszałem znajomy chrzęst, dlatego się obejrzałem, śpiewnym głosem odparł mężczyzna i uśmiechnął się. Ma pan piasek na butach, i liście, dodał. Proszę tu wrzucić, wskazał na zmięty, odwrócony do góry dnem kapelusz, który stał przy jego drugiej nodze niby wiaderko na ryby. Kiedyś musiał być szykowny, świadczyły o tym odcisnięte w filcu rdzawe ślady w kształcie muszelek, ale teraz wyglądał jak wyjęty ze ściśniętego gardła. Siil podszedł bliżej i kątem oka zajrzał do środka.

– Co pan robi? – zapytał ostrożnie.

– Jak pan widzi. Zbieram muszle, piasek i liście, łapię szczupaki – miał obcy akcent.

– Pan jest stąd?

– Nie, z Indii, z brunatnego kraju. Tu tylko przejazdem. Czekam na transport.

– Transport?

– Tak, na Zachód, do Wiednia – spokojnie odpowiedział mężczyzna.

– Tam nie ma piasku?

– Takiego nie – powiedział jasno i marzącymi oczami smutno popatrzył na wschód. – Teraz najmocniej pana przepraszam, branie – dodał z łagodnym uśmiechem i odwrócił się w stronę przerębla.

– Nie zimno panu?

– Zimno, bardzo zimno. Proszę strącić mnie w prochowiec – dobiegło zza pleców.

Biedny obcokrajowiec, zlitował się Siil. Nałożył mu na ramiona płaszcz i odszedł bez słowa w przejrzałe popołudnie. Zachodzące słońce wydobywało na jaw starcze zmarszczki ziemi i ziarnistą fakturę śniegu. Na wschodzie wygwieżdżało się niebo. Przestrzeń nad Balatonem otwierała się miękka i miła. Żadnego lęku. Dalej, za jeziorem, za Dunajem, zapraszająco rozpościerał się Alföld, nieskończoność na estońską miarę. Siil poczuł się bezpiecznie. Spokojnie zaczął snuć plany na następny dzień. Wstać wcześniej, wyjechać wcześniej, wcześniej uciec Siwobrodemu, Panu Domu, z łobuzerską satysfakcją zonglował w myślach słowami. Chciał bowiem uniknąć kontaktu z łaskawcą, który przyznał mu stypendium i oczekiwał +

dowodów jego pracowitości. Powłóczył się więc jeszcze trochę po głuchym miasteczku, pozaglądał do obejść, z których szczekał na niego tylko jego własny cień i wrócił do willi, by spakować manatki, wypić litr wina i położyć się spać.

A Balaton wcale nie zamarzł. Wzdłuż fal kładły się rozbłyśki księżycy. Między srebrzeniami raz po raz przebijało dno. Na mieliźnie pośrodku jeziora tańczyła kobieta, wirowała w burzy rozpuszczonych włosów. Z brzegu z podziwem obserwowali ją nieruchomy człowiek w białym kołnierzu i świnka, która jak wierny pies siedziała wsparta na przednich łapach i bez mrugnienia wypatrywała oczy. Nagle krzyk: Siil!, żeński głos ze świstem przedarł powietrze i wpadł harpunem w głąb ucha. Co?, zerwał się spocony. Nic. Jak zwykle nic. Atak paniki. Odetchnął, opadł bezwładnie na poduszkę. Dziurawym od snu wzrokiem potoczył po pokoju, a mieszkał w izbie pamięci wśród drewnianych rzeczy – to go wyciszało. Dochodził powoli do siebie. Ustał łomot serca. Przeciągnął się, podrapał pod pępkiem nadprzyrodzenie. Z wolna rozklejał kolejny rozdziałik prozy swego życia. Spojrzał na zegarek, grozy życia! Grozy! Jezus! Do pociągu miał kilkanaście minut. Wyskoczył z łóżka, o łydki strzelił gumkami skarpetek, założył majtki, kalesony, spodnie, narzucił koszulkę, sweterek, kurtkę, plecak, wzuł buty, wybiegł na ganek. Kilkanaście minut. Stał nagle, zawrócił, wpadł z powrotem do willi, coś wziął, coś odstawił, z czymś trochę się szarpał, coś nerwowo przesunął, znów wypadł na zewnątrz. Kilkanaście minut. Matko Boska Estońska! Rozgogolony, z szalem i czapą w ręce na łeb, na szyję gnał do dworca. W rozbujanym plecaku, wystukując rytm jego susów, metalicznie pobrzękiwały srebrne piersióweczki. Czoło nieba całkowicie się rozpogodziło, choć nadal było srogie. Mroźne, arktyczne powietrze wyostrzało widoczność. Siil pruć je ze świstem. Mknął nad lodowiskiem. Kilkanaście minut. Przed nim jeź wyskoczył z prawa, przeciął drogę i wbiegł w krzaki, galopując. Galopując? Jeź? Ale Siil wcale się nie dziwił, sam leciał Sándora Petőfięgo. Po lewej mijał park i dalej wodę, rozległą kałużę jeziora pod lodem. Déjà vu. Rwał jednak do przodu jak szalony. Przy Carrefourze na rogu spojrzął na zegarek. Kilkanaście minut. Ciągłe za mało, choć czas się rozstąpił. Ciągłe za mało, choć trafił w czasodział. Pomykał dalej niby po śródmorskiej grobli, suchą stopą deptał sekundy i minuty. Kilkanaście minut. Wpadł na dworzec, kupił bilet. Potem podziemne przejście, schody, peron, pociąg. Zajął miejsce. Pot ściekał mu po plecach i to był jedyny ruch o tej porze i w tym miejscu. Która godzina? Kilkanaście minut. Kilkanaście minut do odjazdu. Nic nie rozumiał. Powiódł dookoła wzrokiem. Niczego, nikogo. Bezдушny dworzec, poniżej zera polerowany nagrobek z lastryko. Zostawiał za sobą martwe uzdrowisko, kurort po sezonie, osadę z przymkniętymi oczami. W czerwonym wagoniku ktoś wyłączył grzanie, ktoś włączył zegary. Szarpnęło. Nikt za nim nie płakał, nikt się nie radował. Tylko za oknem siarczyście kłął mróz.

Siil nie wywiązał się ze stypendialnego obowiązku. Z całego arkusza przełożył raptem dwa wiersze, z których w Domu zostawił jeden. Położył go razem z kluczami na stoliku przy wyjściu. Po estońsku brzmiał tak:

świński sezon

Mt 8,32

jesień zima
zima jesień

północny brzeg jeziora
ścielą kurorty
wyięble prześcieradła
widma kuracjuszy
zabite deskami dziury
spod których mgła
mgła wszędzie
a głębiej zgasłe kratery kwater, ich okna
spleśniałe grona
porowaty tuf

na martwej plaży
żywej duszy
jeden tylko drobny
Jeżu
przebiega drogę chrumkając
wpada z impetem w napiętą taflę

błona pęka
tyle go widzieli

drobny Jeżu jak kamień
w wodę

Drugi, o niebo lepszy wiersz o prawdziwej miłości zabrał ze sobą w dalszą drogę. Przekład i oryginał. Bez tłumaczenia.